

Czy Polska będzie należała do krajów pionierskich? A może do tej wielkiej zmiany dołączy z pozycji „młodszego brata”, podążając kilka kroków za „starszym rodzeństwem”? Stawka jest wysoka: kto się nie dostosuje, zostanie zepchnięty na peryferie rozwoju ze znacznym i trwałym dystansem do centrum.

Włączanie niszczenia planety do rachunku ekonomicznego

Zasoby naszej planety nie są nieprzebrane. Ziemia „pęka w szwach”, a jej ekosystem – dotychczas względnie stabilny – wpada w coraz większy rezonans, czego najbardziej niebezpiecznym przykładem jest – dziejąca się na naszych oczach – klimatyczna katastrofa.

Od czasu rewolucji przemysłowej globalna populacja ludzka zaczęła wykładniczo rosnąć. Obecnie jest nas na świecie prawie 8,1 mld, a nasza konsumpcja dalece przekracza możliwości regeneracyjne Ziemi...

Jak z tego wyjść? Główna, kierunkowa zmiana powinna polegać na włączeniu do rachunku ekonomicznego realnych kosztów zużycia nieodnawialnych zasobów oraz negatywnego oddziaływania na klimat i środowisko, które dotychczas nie były uwzględniane. Jedynie w ten sposób osiągniemy zerowy ślad środowiskowy. W efekcie „kupimy czas” potrzebny na regenerację naszej planety i powrót do względnej homeostazy.

Jest jednak zasadniczy problem – ogromne wydatki, konieczne, by dostosować obieg gospodarczy do wymogów tej nowej wielkiej transformacji.

Jako większość przyzwyczailiśmy się do korzystania ze wszystkich dostępnych zasobów bez uwzględnienia ich realnych, długookresowych kosztów. Włączenie, z dnia na dzień, „pełnej ekonomicznej kalkulacji” wiązałoby się z drastycznym obniżeniem jakości życia większości społeczeństwa. Ponadto państwa, które – jako pierwsze – zdecydują się na taki ruch, staną się natychmiast niekonkurencyjne na rynkach międzynarodowych. To natomiast grozi ich zapaścią gospodarczą, utratą wiarygodności oraz blamażem całego konceptu neutralności środowiskowej i zeroemisyjności.

Wdrażanie nowej filozofii rozwoju powinno odbywać się w międzynarodowej koordy-

Oświecie u progu transformacji



JAN M. SZOMBURG

Głęboki kryzys surowcowo-klimatyczny stawia dziś świat u progu wielkiej gospodarczej transformacji. UE stara się być globalnym pionierem zmian – nie tylko dla idei, ale też kalkulując własne interesy oraz bezpieczeństwo strategiczne.

nacji konsekwentnie, ale stopniowo – dając nowym zielonym technologiom przestrzeń na postęp (i redukcję kosztów).

Wielki transformacyjny wysiłek już ruszył

Dziś, w wielkim transformacyjnym wyścigu „pierwsze skrzypce” gra niewątpliwie Unia Europejska. Do 2030 roku gospodarka Wspólnoty ma obniżyć swoją emisyjność o 55 proc. względem 1990 roku, a po roku 2050 stać się całkowicie neutralną klimatycznie.

Przy czym wiele działań służących osiągnięciu tych założeń dokonuje się już teraz, a siła ich oddziaływania będzie tylko rosła.

Warto tutaj zwrócić szczególną uwagę na kwestię nowych wymogów raportowania zrównoważonego rozwoju (unijne dyrektywy SFDR i CSRD). Założenie jest takie, by co roku nowymi obowiązkami w zakresie oddziaływania na środowisko i klimat obejmować coraz więcej podmiotów, a siłę nacisku wzmacniać.

Zresztą zmiana modelu gospodarowania dokona się nie tylko w wyniku wdrażania przepisów wdrażanych przez Komisję Europejską. Pasami transmisyjnymi staną się również (a de facto już dziś są) wielkie instytucje finansowe czy duże unijne korporacje.

Przykładem jest tu choćby zmieniająca się polityka banków, które coraz częściej w

ogóle wyłączają niektóre (uznawane za „brudne”) gałęzie przemysłu z kredytowania. Natomiast projekty inwestycyjne, by otrzymać zgodę na finansowanie, muszą spełnić kryteria środowiskowe – inaczej grozi im odmowa przyznania środków.

Coraz ambitniej do sprawy podchodzą też duże korporacje. Często żądają już od swoich kontrahentów (w tym również małych i średnich przedsiębiorstw) raportowania śladu węglowego (emisji CO2) z poszczególnych etapów realizowanego dla nich wytwórstwa. Niezadko oczekują też wykorzystywania energii z odnawialnych źródeł do konkretnych procesów przemysłowych.

Wszystko to powoduje, że firmy, które nie dostosują się do nowych uwarunkowań, mogą ostatecznie zostać wykluczone z rynku, mimo teoretycznej atrakcyjności ekonomicznej ich produktów i usług.

Ostatecznie, każdy będzie musiał spełniać nowe standardy – i to w bliższej, niż mogłoby się wydawać, perspektywie. Podejście Unii Europejskiej nie jest niczym nowym – to element realizowanej od dłuższego czasu strategii. Od niedawna można jednak zauważyć pewną zasadniczą zmianę. Do tej pory UE głównie sama na siebie narzucała coraz wyższe standardy, nie stosując jednocześnie analogicznych wymogów do dóbr importowanych. Wynikało to z dominacji polityki handlowej

Wspólnoty nad jej polityką przemysłową (a właściwie jej brakiem).

To natomiast było podyktowane interesami eksportowymi najsilniejszych gospodarczo państw Europy (Niemiec, Francji czy Holandii), które nie chciały ryzykować cel odwrotnych ze strony swoich międzynarodowych kontrahentów. Chodziło tu przede wszystkim o Chiny, które są znaczącym odbiorcą zaawansowanego eksportu UE (maszyn przemysłowych, samochodów) czy dóbr luksusowych.

Od jakiegoś czasu kraje twardego jądra Europy zaczęły jednak dostrzegać, że Państwo Środka, ale i inni liczący się gracze, dążą do budowy własnych zaawansowanych gałęzi gospodarki oraz technologicznych przewag (odnosząc jednocześnie na tych polach niemałe sukcesy). Zjawisko to uległo znacznemu przyspieszeniu w obliczu zerwania dotychczasowych łańcuchów dostaw w wyniku pandemii oraz wobec geopolitycznych pęknięć ostatnich lat (nasilające się napięcia na linii USA-Chiny, wojna w Ukrainie czy konflikt na Bliskim Wschodzie).

Stąd wdrożenie przez UE mechanizmu CEBAM – podatku od emisji CO2 dla wybranych towarów wwożonych do Wspólnoty (m.in. stali i cementu – katalog ten będzie ulegał rozszerzeniu). Gospodarka europejska w końcu zyskuje silny parasol ochrony dla „zielonych” zmian (przynaj-

mniej na własnym terytorium). Daje to realne nadzieje na odbudowanie rodzimego przemysłu i reindustrializację UE (choć już w nowym – neutralnym środowiskowo i klimatycznie – wydaniu).

Korzystniej oraz bezpieczniej dla całej Europy

Postawa Unii Europejskiej nie wynika tylko z idealistycznych pobudek. Jest to również efekt chłodnej kalkulacji interesów gospodarczych oraz rozumienia bezpieczeństwa strategicznego.

UE nie posiada wystarczających zasobów paliw kopalnych, aby zaspokoić wewnętrzny popyt swojego wysoko rozwiniętego obszaru gospodarczego. Inna jest sytuacja np. Stanów Zjednoczonych, które mają własne, znaczne pokłady węgla i ropy (to obecnie światowy numer jeden w produkcji zarówno ropy, jak i gazu).

Tymczasem brak dostaw energii oznacza dziś zatrzymanie działania właściwie każdej gałęzi gospodarki, ale też obronności (praktycznie wszystko oparte jest na elektronice i komunikacji cyfrowej). Blackout równa się de facto rozpadowi wszelkich mechanizmów funkcjonowania ekonomii i państwa.

Brak własnych zasobów energetycznych oznacza więc konieczność zabezpieczenia ich poza swoim obszarem (coś,

co np. przez dekady robiły Stany Zjednoczone na Bliskim Wschodzie).

Tymczasem państwa UE nie posiadają aktualnie liczącej się siły militarnej (co jest pokłosiem takiej a nie innej historii, szczególnie XX wieku) i nie są w stanie zareagować w sytuacji kryzysowej.

Do tej pory osłonę w tej kwestii gwarantowały Stany Zjednoczone. Dziś nie jest to już takie oczywiste – Amerykanie muszą „obstawiać coraz więcej frontów” – w tym rosnący na znaczeniu Pacyfik.

Dlatego UE tak silnie promuje odnawialne źródła energii i gospodarkę obiegu zamkniętego (bazując na recyklingu surowców, w tym pierwiastków ziem rzadkich).

Ryzykowna ekspozycja na szkodliwość zmian klimatycznych

Skutki ocieplenia klimatycznego mogą się zresztą okazać wyjątkowo szkodliwe właśnie dla Europy. Jedne z najbardziej rozwiniętych gospodarczo i zurbanizowanych jej części znajdują się dziś niedaleko linii brzegowej – na niewielkiej wysokości nad poziomem morza (Dania, północne Niemcy, Holandia czy Belgia) i w razie globalnego podniesienia się poziomu wód to one pierwsze znajdą się pod ich lustrem.

Ponadto, gdy w Afryce Subsaharyjskiej średnia temperatura zacznie oscylować w granicach 40 stopni Celsjusza, to stanie się ona miejscem niendającym się do życia, a kilkusetmilionowa populacja ruszy na północ – w kierunku Starego Kontynentu.

Jak wtedy zachowa się Europa, skoro już dziś nie potrafi skutecznie poradzić sobie z migracjami o zdecydowanie mniejszej skali?

I co w tych okolicznościach powinna zrobić Polska? Obudzić się z pewnego letargu i porzucić filozofię zaprzeczania rzeczywistości. To konieczne, by w porę dostrzec znaczenie i skalę zachodzących zmian. Musimy właściwie rozpoznać, skąd „wieje wiatr” i się pod niego „podpiąć”, wstrzegając się jednocześnie „hurraoptymizmu” i przeinwestowywania.

W zależności od tego, jakie będą nasze strategiczne wybory, albo staniemy się wreszcie integralną częścią centrum, albo trwale stoczmy się ku peryferiom. /e/e

Jan Maria Szomburg jest prezesem zarządu Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową